

ELŻBIETA MORAWIEC

Wszystko dobre, co się Państwu podoba...

Widz masowy zagadnięty czasem, co chciałby oglądać w teatrze, odpowiada na ogół, że do teatru nie chodzi, bo wymaga to przygotowań, czasu; a jeśli już — to chciałby się w teatrze po pracy rozzerwać, obejrzeć „coś lekkiego“. Teatr, który spełniłby te wymagania widza, dostarczając mu lekkiej rozrywki zgodnie z jego rzekomym gustem, mógłby więc uchodzić za teatr prawie idealny, mieć zapewnioną frekwencję, a z nią kasę. A że krytyka się powybrzydza? Przecież nie dla krytyki, ale dla kochanej publiczności pracujemy! Ta strategia z pozoru zorientowana na „społeczne potrzeby duchowe widza“, czy jak to równie wdzięcznie nazwać, w istocie za jedyny cel obiera handlowy sukces najtańszym kosztem. Świadomie nie mówię o wygrywaniu „najtańszych“ gustów. Nie ma takich i tylko takich gustów w żadnym człowieku, jakiegokolwiek — bogate czy skromne — są jego doświadczenia artystyczne. Każdy z nas — jak to dowcipnie sformułował Andrzej Banach — ma prawo do kiczu. Ale nie jest to jedyne prawo, rządzące przeżyciami estetycznymi. Teatr, który wmawia je widzowi, lekceważy ją przy pozorach szacunku.

Te refleksje nasunęły mi się po spektaklu „Doktora Fausta“ Marlowe'a, wystawionego na XXX-lecie Teatru im. Kochanowskiego w Opolu. Bogdan Hussakowski — przy współudziale scenografów Lidii i Jerzego Skarżyńskich i kompozytora, Andrzeja Zaryckiego — wystawił Marlowe'a z jubileuszowym rozmachem. Żadnych piekieł metafizycznych wątpliwości, pytań, co więcej warte, hedonistyczne używanie czy ludzki ład moralny? Piekło jest tak piękne, tak olśniewająco nowoczesne, oferuje tyle wspaniałych narkotyków — nocny kabaret z girlskami, dyskotekę, film grozy — że widz nie ma najmniejszych trudności z wyborem, w ślad za Faustem gotów na tychmiast sprzedać duszę, aby się trochę popławić w luksusie. Pokusy piekła w intencji realizatorów miały być krzywym zwierciadłem współczesnego mitu szczęścia, Faust „rozumnym szaleńcem“, hippisem bożym, który ten mit kompromituje. Ale Fausta w opolskim spektaklu nie

do tej charakterystycznej oceny. Ocena znamienne i niepokojąca; zamiast pytań — jak? dlaczego? — mechaniczne potwierdzenie wartości.

Młoda dziewczyna po obejrzeniu spektaklu „Beatryks Cenci“ na opolskiej małej scenie powie, że jej się „podobał“. Wystarczy przecież jedno pytanie, czy widz, który nie zna tekstu dramatu, zrozumie w przedstawieniu Mai Wachowiak to, co najbardziej zewnętrzne, jego fabułę, by zakłopotana odpowiedź brzmiała: „Nie“. Więc można w teatrze przeprowadzić wszystko, schlebiać publiczności i obrażać jej naturalny zdrowy rozsądek, wszystko się spodoba. Ależ tak się charakteryzuje stan apatii odbiorcy, a nie pobudza wrażliwość! Co najwyżej — wrażliwość na „migające obrazki“.

Niestety, i drugi spektakl opolski należy do tej samej rodziny. W „Doktorze Fauście“ oglądaliśmy wielki show, w „Beatryks“ zwykle niechlujstwo myślowe występuje w awangardowym przebraniu. Scena kameralna, en ronde, zobowiązuje. Nie ma więc naturalistycznych dekoracji, rolę łoża kazirodczej miłości, trumny, płótna obrazu, altany pełni coś w rodzaju obciążonego siatką batutu. Przejrzysta symbolika barw (wszyscy Cenci, z wyjątkiem najmłodszego, na czerwono, Książd Negri w czerni, ale pod spodem płonie zła namiętność czerwieni, Giano Giano, dziewiczo biały, też czerwony kostium ma pod wierzchnią bielą) od razu wyjaśnia widzowi „who is who“ w tym towarzystwie. Wiadźmy rozśladły się naokoło terenu akcji; ubrane współcześnie, ironicznie komentują wydarzenia, a kiedy widz już prawie zrozumiał, że ma to wyrażać jego (?) dystans wobec bohaterów skąpanych w namiętnościach i zimną obojętność losu, przechodzą w szatański taniec, „grają“ swoją pokraczną wiedznowatość. Reżyserka nie zawahała się przed żadnym efektem: to, co u Słowackiego (zabójstwo Cenciego) dzieje się za sceną i o czym się tylko mówi, u Mai Wachowiak dzieje się w dwójnasób, na „wizji i fonii“: Beatryks zabija naocznie, świadek to relacjonuje. Finał wieńczy scena (pół)nagiej miłości w obliczu śmierci. Ciało dwójga kochanków spoczywają obok siebie na siatkowym batucie: Giano

Ale Fausta w opolskim spektaklu nie ma jako postaci; grający tę rolę Tadeusz Morawski wygłasza jakieś kwestie, zadaje pytania, ale właściwie można by jego istnienie i piekielne problemy pominąć, jak się pomija rozwlekłe opisy przyrody w pasjonującej powieści. Jego obecność załédwie uzasadnia działanie się seansu nieustannej cudowności na scenie, „włącza“ i „wylacza“ migotanie obrazów. A jest ich co niemiara: starszyzna piekielna, czyli czarno ubrani gangsterzy, jeździ białym „mexem“, dwór papieski jest pastiszem pokazu mody z „Fellini-Roma“, książęca para Vanholtów z niezwykle liczną progeniturą (!) przybyła prosto z różowo-niebieskiej krainy szczęśliwości, Disneylandu, potężny mechaniczny maszyno-smok daleko prześcignął dzieciinną kolejkę „Pico“ z „Jeziora Bodeńskiego“, butaforkowe kobyły wierzgają i kopią, itd., itp. Każdą niespodziankę witają radosne śmiechy, ciepłe brawa i wyteżone oczekiwanie widzów: i co jeszcze, co dalej, co dalej... fajne, całkiem jak w kinie. Publiczności zafundowano prawdziwą sztukę („Doktor Faust“!) — i to, co lubi, pokazując przy tym niebywałe możliwości maszyny teatralnej. A że ta machina przy okazji odcina publiczności głowę, petryfikuje myślenie?

Spektakl „Doktora Fausta“ to nie odosobniony przykład rozdwojonej świadomości polskiego teatru. Z jednej strony trzeba zapracować na sławę teatru dobrym, wartościowym repertuarem, z drugiej — zyskać publiczność. Tak rozrywkowość staje się kostiumem wartości, wartością samą. Powtarzam — nikt rozsądny nie neguje ludzkiego prawa do rozrywki ani zabawowych funkcji sztuki. Ale jej funkcją naczelną — często, niestety, sprowadzaną do dydaktycznego morału — jest odkrywanie niemożliwego, otwieranie przed człowiekiem nie znanych mu wczoraj szans, pojęć, wartości. Tego niepokoju, wątpliwości i pytań, jakie niosą zarówno życie jak sztuka, nie wolno rozmięniać na tani pragmatyzm błyskotliwych efektów, które dadzą się skwitować krótkim: „To mi się podoba“. Współczesna publiczność teatralna bardzo często ogranicza się

Glani w czerwonym kostiumie (z białego rozebrał się w czasie akcji), Beatryks rozebrana w górnej połowie do skóry... Cóż, takie też bywają efekty istnienia awangard w rzeczywistości kulturalnej totalnie wartościowej. Wszystko dobre, co się Państwu podoba...

ELŻBIETA MORAWIEC